

## Mały pisarczyk z Małoszyc (5)

(Dokończenie ze strony 3)

rękę i wskazał palcem widoczne przez okno przelatujące bociany. W istocie rzeczy może tak bardzo kochał przyrodę? Nie udzielił mi odpowiedzi na pytanie o Skamandrytów, aczkolwiek miał ku temu powody.

Inna później sprawa zwróciła moją uwagę. Pisarz powiedział, że wybrał Sandomierszczyznę na swoją drugą ojczyznę, po opuszczeniu Kresów, ponieważ tu ziemia jest tłusta. Pomyślałem, że chodzi tylko o to, że ziemia jest urodzajna. Ale z czasem mogłem się przekonać, że ta ziemia Sandomierska zastąpiła mu pierwszą ojczyznę, gdzie właśnie ziemię są tłuste, Ukrainę. Na zakończenie poprosiłem rozmówcę o podpisanie wywiadu, tak żebym mógł ów podpis dać do gazety celem jego wydrukowaniu. Ku mojemu zdziwieniu, pisarz załączył nad autografem zdanie z pozdrowieniami dla redakcji. Byłem ukontentowany. Iwaskiewicz prosił, abym numer pisma z zamieszczonym w nim wywiadem mu przesłał, co rzeczywiście po przyjeździe do Kielc i szybkiej publikacji tekstu uczyniłem. Byłem pełen uwielbienia dla doskonałego pisarza. Czekałem na odpowiedź po przesłaniu numeru pisma. Ku mojemu rozżaleniu takiej nie otrzymałem. Wkrótce za wywiad otrzymałem od redakcji „Echa Dnia” nagrodę miesiąca. To też dużo.

Po kilku latach, kiedy mieszkałem w Warszawie, zaszedłem do Domu Literatury na jakąś imprezę. Wychodząc, spostrzegłem przy szatni ubierającego się Iwaskiewicza. Z trudem nakładał zimowe palto, był jakby przygarbiony, zmęczony. Wiedziałem, że chyba zbliża się jego koniec. Rzeczywiście tak się stało. Po niedługim czasie, gdy pracowałem w „Kierunkach” jako redaktor, pisarz zmarł. Na jego pogrzeb poszedł z redakcji Zdzisław Umiński, który znał pisarza, bo był jak on członkiem ZLP. Chwalił się, że posiada od niego kilka listów, za co go szczególnie lubił, a za pisarstwo cenił.

Po wielu latach zaszedłem na grób Jarosława Iwaskiewicza na cmentarz w Brwinowie. Leżał w grobie pod cisami opodal miejsca pochówku swego teścia. Była noc. Razem ze Stellą Szymaniak, młodą poetką, zapaliliśmy znicze na obu grobach. Miejsce pochówku wydało mi się odosobnione i dalekie od tego, jakiego się spodziewałem. Stella, wówczas mieszkanka Brwinowa, poinformowała mnie, że w Podkowie Leśnej odbywają się konkursy prozy z twórczości pisarza.

Jakiś rozdźwięk istniał między ubogim otoczeniem grobu i samym grobem a wykwinnością uroczystych spotkań literackich ku czci pisarza.

Jeszcze jak sięgnę pamięcią związaną z pisarzem kojarzy mi się jedna scena. Siedziałem przy stoliku biblioteki w Domu Literatury, kiedy weszła do pomieszczenia Joanna Siedlecka. Popytała mnie o pisarzy, nad których biografią pracowała, po czym wszedł fotoreporter, żeby zrobić jej zdjęcie. Stała obok postumentu Jarosława Iwaskiewicza. Spojrzałem na nią, zawstydzona się. Ale ja nie podszedłem do niej, aby dać się sfotografować. Nie miałem tej miary, co inni pisarze.

**- A jak poznałeś się z obecnym prezesem ZLP? Co najbardziej utkwiło ci w pamięci z waszych kontaktów?**

- Na radomską Wiosnę Poetycką w roku 1976 przyjechali dwaj poeci warszawscy: Krzysztof Gąsiorowski i Tadeusz Mocarcki. Poeci miejscowi i ich jedyna Muza, ładna, ładna, ale niepisząca wierszy przyjęli ich po imprezie dla publiczności w restauracji i hotelu „Europa”. Biesiadowanie nie miało końca. W jego trakcie Krzysztof Gąsiorowski rzekł, chcąc nam zaimponować, że jest z naczelnym pisma „Poezja”, a sam był zastępcą redaktora naczelnego, zna się w pół słowa. Nie powiedział, że znają się jak łyse konie, ale naprawdę nam zaimponował. Mało tego, powiedział, że gdyby zechciał, mógłby być samym naczelnym. Trochę nie dowierzałem tym jego przechwałkom, ale dziś z perspektywy czasu wiem, że mogłoby tak być, bo Gąsiorowski miał dobre pióro, kontakty z drukarnią i dobre znajomości z ludźmi. Wiele zależało od postanowień decydentów partyjnych.

Wawrzekiewicz w partii w tym czasie musiał mieć duży mir, bo wcześniej był attaché kulturalnym przy ambasadzie polskiej w Moskwie. Przez jakiś czas prowadził pismo „Nowy Wyraz”, a chyba też pełnił przez pewien czas funkcję szefa zespołu redakcji „Nowych Książek”.

Poznałem go z widzenia, nie z bezpośredniego kontaktu, w redakcji „Poezja” pod koniec epoki PRL-u. Przechodziłem nieraz obok niego, gdy zająłem od czasu do czasu z materiałami do redaktora Jana Zdzisława Brudnickiego, Andrzeja Tchórzewskiego (szef działu poezji) czy – na koniec – do Krzysztofa Gąsiorowskiego celem przeprowadzenia z nim wywiadu. Nie śmiałem wejść do pokoju Wawrzekiewicza, bo i nawet nie przyszło mi na myśl, aby wejść i porozmawiać (np. prosząc go o uczestnictwo w wywiadzie dla jakiegoś innego pisma). Długo tak przychodziłem, przyjaźniac się z redaktorką Kowszewicz i trochę z Andrzejem Tchórzewskim. Nadeszły czasy Przełomu, czyli wydarzenia roku

1989, i wszystko w kulturze ulegało przemodelowaniu. Dowiedziałem się, że pismo ma przestać ukazywać się. Miałem w nim złożone wiersze, a tu w jednym z jego numerów widnieje zapowiedź drukowania mojego wiersza, na pewno – jak się dowiedziałem – wiersza o chorym na schizofrenię „Schizis, albo dwoistość”, napisanym w Częstochowie. Wychodzi ten numer, w którym miał ukazać się wiersze, a wiersza nie ma. Na okładce znów dostrzegam zapowiedź publikacji tego utworu, czekam, czekam, zapowiadany numer ukazuje się, a wiersza nie ma. Byłem mocno rozżalony. Jak się okazało numer pisma z drugą zapowiedzią mojego utworu był ostatnim w jego historii. Już się nigdy więcej nie ukazało. Nastąpiły rozszady w zespole, małe dramaty osobiste członków redakcji, oczekiwanie na nową pracę.

Po śmierci Piotra Kuncewicza, już po dłuższym czasie od jego zamknięcia, Marek Wawrzekiewicz został wybrany prezesem Związku Literatów Polskich. Cieszył się estymą jako doświadczony i wysoko utosunkowany twórca i urzędnik. Miał szerokie kontakty we władzach, w różnych instytucjach i mógł niejedno załatwić dla związku. Ale miał swoje anse. Potrafił być surowy i jak się uprzedził do kogoś, był w stanie z nim długo walczyć. Najpierw skłócił się z Bohdanem Urbankowskim i doszło do tego, że z czasem ten w ogóle nie pojawiał się w Domu Literatury. Wielu członków organizacji wyrzucił za niepłacenie składek. Aż kiedyś Marta Berowska musiała ująć się za jedną, schorowaną, starszą literatkę, która nie był w stanie wysupłać kilkudziesięciu złotych na rok na opłacenie składek.

Wawrzekiewicz okazał się gospodarzy. Żeby zarobić trochę pieniędzy, można było przynieść swoje książki do rozprawienia wśród czytelników z zewnątrz. Podejmował inne akcje mające na celu podwyższenie dochodu dla ZLP. Nawet sekretarka oddziału warszawskiego tego związku, Krystyna Muchowicz, pracowała już tylko na pół etatu, na koniec odeszła na emeryturę i na tym stanowisku zastąpiła ją inna kobieta, też pewnie mogącą zarobić tu marne grosze.

W końcu, zapewne w porozumieniu z SPP, które wynajmowało drugie skrzydło Domu Literatury, postanowiono sprzedać parter, gdzie mieściła się kawiarnia. Nowy inwestor kontynuował działalność gastronomiczną a restauracja otrzymała nazwę „Literatka”. Pieniądze spłynęły: twórcy za ulgowe kwoty zaczęli jadać tu obiady i pić piwo. Tylko za to wyżywienie był chyba upust.

cdn.

